



Edmund de Amicis

Serce

Opowiadania miesięczne



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Mały patriota z Padwy

Pewnego razu parostatek francuski płynął z Barcelony, miasta hiszpańskiego, do Genui; a znajdowali się na pokładzie Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Szwajcarowie. I był tam między innymi chłopiec jedenastoletni, biednie odziany, sam, który się trzymał ciągle na uboczu jak leśne zwierzątko, poglądając na ludzi spode łba! Bo to było tak: przed dwoma laty jego ojciec i jego matka, wieśniacy z okolic Padwy, sprzedali tego chłopca bandzie linoskoków, którzy nauczywszy go przeróżnych sztuk to pięścią, to kopaniem, to głodem, wędrowali z nim przez Francję i Hiszpanię, bijąc go bez litości i jeść mu nie dając. Więc kiedy przywędrowali do Barcelony, ów chłopiec, nie mogąc wytrzymać tego bicia i tego głodzenia i wyniszczony do ostatka sił, uciekł od swego dozorca i oddał się w opiekę konsula włoskiego, który ulitowawszy się nad nim umieścił go na tym parostatku i dał mu list do kwestora w Genui, żeby tego biedaka do rodziców odesłał. Do tych rodziców, co go to sprzedali, jak gdyby był bydlęciem, nie człowiekiem. Biedny chłopiec był cały poraniony i ledwo się na nogach trzymał. Dali mu kajutę drugiej klasy. Patrzyli na niego ludzie, niejedni i zapytał o co, ale on nie odpowiadał. I tak się zdawało, że wszystkich nienawidzi i wszystkimi gardzi, tak mu dojadły i struły serce te razy i te głodzenia. Wszakże udało się trzem podróżnym przez uporczywe pytania rozwiązać mu jakoś język, tak że w kilku szorstkich słowach na pół włoskich, na pół hiszpańskich, a na pół francuskich opowiedział im swoją historię.

Ci trzech podróżni to nie byli Włosi, ale zrozumieli, co ten chłopiec mówił, i trochę z litości, a trochę z tego, że im wino szumiało w głowie, dali mu pieniędzy żartując i namawiając, żeby im jeszcze co więcej opowiedział. A że do sali weszło w owej chwili kilka pań, wszyscy trzech chcieli się pokazać i rzucali mu pieniądze wołając: – Trzymaj, chłopcze! Trzymaj jeszcze! – i pobrząkując lirami po stole.

Chłopiec napełnił kieszenie, podziękował półgłosem, zawsze jednako dziki, ale ze spojrzeniem pierwszy raz uśmiechniętym i wdzięcznym; po czym zaraz poszedł do swojej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, rozmyślając o swym dziwnym losie. Mógł teraz za te pieniądze nakupić sobie różnych łakotek, on, który przez dwa lata łaknął suchego chleba; mógł też kupić sobie w Genui ubranie, on, co od dwóch lat w łachmanach chodził; i także mógł przynieść je z sobą rodzicom, którzy pewnie

inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby przyszedł z próżnymi rękami. Przecież te pieniądze to były dla niego jakby mały majątek. Tak to on sobie rozmyślał pocieszony, poza firanką kajuty, podczas kiedy trzech podróżni rozmawiali z sobą siedząc przy obiadowym stole w pośrodku sali drugiej klasy. Pili i rozmawiali o podróżach swoich, o krajach, jakie poznali, i od słowa do słowa zaczęli mówić o Włochach. Zaczął jeden skarżyć się na oberże, drugi na koleje żelazne, a potem wszyscy wpadli w zapał i wygadywali na wszystko, co włoskie. Ten wołałby podróżować po Laponii, tamten opowiadał, jako w całych Włoszech są sami oszuści i złodzieje, trzeci prześmiewał się, że urzędnicy włoscy nie umieją czytać.

— Naród nieuków! – rzekł pierwszy.

— Brudasów! – rzekł drugi.

— Zło... – zaczął trzeci i chciał powiedzieć „złodziei”, ale nie dokończył słowa.

Grad soldów i półlirówek spadł im nagle na głowy, na plecy, potoczył się po stole, po pokładzie z piekielnym hałasem.

Wszyscy trzech skoczyli wściekli patrząc w górę, a tu im jeszcze na twarze runęła garść miedziaków.

— Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie swoje grosze! – krzyknął z pogardą chłopiec zerwawszy firankę swej kajuty. – Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy moją ojczyznę znieważają!

Mała wideta lombardzka

W 1859 roku, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, wkrótce po bitwie pod Solferino i San Martino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austriaków, w piękny poranek czerwcowy mały oddział konnicy z Saluzzo jechał stępą samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy.

Oddział prowadził oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wytężonym wzrokiem w zupełnym milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austriackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku otoczonego wierzbami; przed nim stał dwunastoletni może chłopczyna strugając nożem gałązkę, z której sobie widocznie chciał gładki kij zrobić. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo. Zapewne mieszkańcy wywiesiwszy chorągiew uciekli w obawie przed Austriakami.

Ujrzawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z ogorzałą twarzą, z dużymi, niebieskimi oczyma, z jasnymi, długimi włosami, a przez otwartą koszulę widać było nagie jego piersi.

— Co ty tu robisz? – zapytał oficer zatrzymując konia. – Dlaczego nie uciekłeś razem z rodzicami?

— Ja nie mam rodziców – odrzekł chłopczyna. – Jestem podrzutkiem, sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby widzieć wojnę.

— A nie widziałeś ty Austriaków?

— Nie. Od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia i zostawiając swoich żołnierzy jak byli, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do domu, a stamtąd wydrapał się na dach. Dom był niski. Z dachu widać było tylko mały kawałek najbliższej okolicy.

Oficer znów myślał przez chwilę, patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, po czym nagle zapytał chłopca:

— Słuchaj, bąku! Masz ty dobre oczy?

— Ja? – odrzekł malec. – Ja o wiorstę wróbla dojrzę. . .

— A potrafiłbyś wyleźć na czubek tego drzewa?

— Na czubek tego drzewa? Ja? ... Za pół minuty wylezę!

— A umiałebyś mi powiedzieć, co stamtąd widać? O tam! Chmury kurzawy, błyszczące bagnety, konie?...

— Co bym zaś nie miał umieć.

— A co chcesz za tę usługę?

— Co ja chcę? – powtórzył chłopiec i uśmiechnął się. – Nic nie chcę. Co mam chcieć! A zresztą, dla Szwabów to bym tego za żadne skarby nie zrobił. Ale dla naszych! Przecie ja jestem Lombardczyk.

— Dobrze. Włóż prędko!

— Zaraz, tylko trzewiki zdejmę...

Zdjął trzewiki, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę w trawę i objął pień wierzby.

— Uważaj! ... – krzyknął oficer chcąc go powstrzymać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.

Chłopiec obrócił się i spojrzał pytająco swymi pięknymi, niebieskimi oczyma.

— Nic już, nic – rzekł oficer. – Wyłaż dalej. Chłopak wdrapywał się jak kot na drzewo.

— Patrzeć przed siebie! – krzyknął wtedy oficer na swoich żołnierzy. W parę minut był już malec na samym wierzchołku. Uczepiony u samego czuba, stał pośród gęstwiny liści, lecz z piersią odkrytą, a słońce tak promiennie biło w jego jasną głowę, że była jak gdyby złota. Oficer zaledwie mógł go dojrzeć, tak się na tej wyżynie maleńki wydawał.

— Prosto przed siebie patrz i daleko! Jak najdalej możesz! – krzyknął ku niemu.

Dosłyszał chłopak i żeby lepiej widzieć, puścił się prawą ręką drzewa i do czoła ją od słońca przystawił.

— Co tam widzisz? – zapytał oficer.

Pochylił się chłopak nieco ku niemu i osłoniwszy ręką usta z jednej strony, żeby głos łatwiej szedł, odpowiedział:

— Dwóch ludzi konnych na wielkim gościńcu.

— Daleko?

— Będzie z pół mili.

— Ruszają się?

— Nie, stoją.

— I co jeszcze widzisz? – Zapytał oficer po chwili milczenia. – Patrz teraz w prawo!

Chłopiec odwrócił się w prawo, po czym rzekł:

— Niedaleko cmentarza, pomiędzy drzewami, coś błyszczy... Coś jakby bagnety...

— A ludzi widzisz?

— Nie. Pewno się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który przeszywszy wysoko powietrze, daleko gdzieś, poza domem, skonał.

— Złaż, chłopcze! – krzyknął oficer. – Dojrzeli cię! Nie chcę już nic więcej! Złaż zaraz!

— Kiedy ja się nie boję! ... – odkrzyknął malec.

— Złaź! – powtórzył oficer. – A co widzisz na lewo?

— Na lewo?

— Tak, na lewo!

Chłopiec obrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili drugi świst, ostrzejszy i niżej, przeszył powietrze. Chłopak wstrząsnął się cały.

— Do kaduka! – zawołał. – Mierz! we mnie jak w drozda... Kulka przeleciała tuż, tuż...

— Złaź! – krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

— Zaraz zlezę! – odrzekł chłopiec. – Tylko że się o gałąź zahaczył, proszę pana. Na lewo, chciał pan wiedzieć?...

— Na lewo, ale złaź! – krzyknął oficer.

— Na lewo – zawołał chłopiec odwracając się piersią w tę stronę – tam gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem i nagle chłopak począł na dół lecieć chwytając się gałęzi, po czym spadł głową na dół i z otwartymi ramionami.

— Przekleństwo! – krzyknął oficer skoczywszy ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko odrzuconymi rękami, nieprzytomny. Krew cienkim pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. A już wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli z koni. Schylił się oficer, rozerwał chłopcu koszulę – kula karabinowa przeszła mu lewe płuco.

— Nie żyje! – krzyknął oficer.

— Owszem, żyje! – odrzekł stary wachmistrz.

— Ach biedny, dzielny chłopcze! – wołał oficer. – Odwagi! Odwagi!

Ale gdy tak mówił: „Odwagi!” i przyciskał mu swoją chustką ranę, chłopczyna przymknął oczy i opuścił głowę. Umarł.

Zbladł oficer i patrzył na niego przez chwilę, potem mu głowę miękko na trawie położył, podniósł się, stanął nad nim i znów patrzył.

Wachmistrz i dwaj żołnierze patrzyli także na chłopca stojąc nieruchomo. Inni zaś zwrócenii byli ku nieprzyjacielowi.

— Biedny chłopczyna! Biedne, dzielne dziecko! – powtarzał oficer smutnie.

Po czym zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią jak całunem małe, nieżywe ciało, zostawiając odsłoniętą twarz tylko. Wachmistrz położył przy zmarłym jego trzewiki, czapkę, kijek na pół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, po czym oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł:

— Przyślemy po niego ambulans wojskowy. Zginął jak żołnierz. Pochowają go żołnierze.

Będzie miał pogrzeb wojskowy.

To powiedziawszy przesłał ręką pocałunek od ust umarłemu i krzyknął:

— Na koń!

Skoczyli wszyscy na siodła, oddział się połączył i ruszył drogą. A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe. O zachodzie słońca posunęły się przednie strażnice włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przebiegał z rana oddział kawalerii, posuwał się dwoma szeregami

wielki batalion bersalierów, którzy kilka dni przedtem mężnie zdobyli Wzgórze św. Marcina.

Wiadomość o śmierci chłopca doszła już tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili swój obóz. Ścieżyna biegnąca wzdłuż jasnego strumienia o kilka tylko kroków oddaloną była od małego domku.

Więc kiedy pierwsi oficerowie tego batalionu zobaczyli małego trupka, jak leżał u stóp drzewa przykryty trójkolorowym sztandarem, oddali mu pokłon szpadami; jeden zaś z nich schylił się nad brzeg strumyka, zerwał parę kwiatów, których tam było pełno, i rzucił zmarłemu. Tak zaraz inni bersalierzy, jak szli, tak się schylali, rwali kwiaty i rzucali je tak samo.

W kilka minut ciało chłopczyny było nimi zupełnie pokryte, a oficerowie i żołnierze idąc, tak mówili:

- Brawo, mały Lombardczyku! . . .
- Żegnaj, chłopczyno!
- Niech żyje sława!
- Żegnaj, mały żołnierzu! . . .

Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zasługi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle na bosc nożyny, na piersi skrwawione, na jasną główkę jego. A on jak gdyby spał na trawie, otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy, uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopczyna tę pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że życie oddał za Lombardię swoją.

Mały pisarczyk z Florencji

Przechodził kurs czwartej klasy w szkole elementarnej. Śliczny to był Florentczyk, z czarnymi włosami, a białą twarzą, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznych, który mając liczną rodzinę, a małą pensję, żył w niedostatku.

Ojciec kochał go bardzo. Pobłażliwy był dla niego i dobry. Pobłażliwy we wszystkim, tylko nie w tym, co dotyczyło szkoły. Na tym punkcie był surowym i wymagającym, bo chłopiec musiał nauki kończyć jak najprędzej i jak najprędzej objąć jakiś urząd, żeby pomagać rodzinie. A wiadomo, że kto chce prędko coś znaczyć, musi tego pracować i nie tracić czasu, więc choć się chłopiec uczył dobrze, ojciec jeszcze go i tak do nauki zapędzał. Bo sam już nie bardzo był młody, a w ciężkiej pracy czuł się postarzałym przedwcześnie. Niemniej jednak, choć nią tak obarczony w swym urzędzie, brał jeszcze to stąd, to zowąd jakąś poboczną pracę, żeby tylko nastarczyć potrzebom domowym. Najczęściej było to przepisywanie, na którym mu część nocy schodziła codziennie, a nieraz i świt zastawał go przy nim.

W ostatnich czasach podjął się u jednego wydawcy dzienników i książek zapisywania na opaskach nazwisk i adresów abonentów; a za każde pięćset takich opasek, zaadresowanych dużymi literami i czytelnie, dostawał trzy liry. Ale robota owa bardzo go męczyła i często się na nią skarżył przed swoją rodziną.

— Tracę oczy – mawiał – dobija mnie ta praca po nocach. Aż jednego razu powiada do niego ów najstarszy synek:

— Tato, daj mi to robić za siebie! Wiesz przecie, jak ja ładnie piszę i zupełnie podobnie do ciebie. Ale ojciec odpowiedział:

— Nie, synu! Przede wszystkim nauka. Twoja szkoła daleko ważniejsza niżli te opaski; wy- rzuciłbym sobie, gdybym ukrócił choć godzinę. Dziękuję ci, ale nie chcę i nie ma o czym gadać.

A syn wiedział, że w tych rzeczach nie ma co się z ojcem upierać i nie upierał się. Ale oto, jak sobie poradził.

Wiedział dobrze, że ojciec jego kończy pisanie o północy i idzie do sypialni ze swojej izdebki. Tego był pewny. Kiedy na wielkim zegarze wybiła dwunasta, słyszał zawsze odsuwanie krzesła od stołu i powolne kroki ojca.

Więc jednej nocy przeczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał cicho, ubrał się i po omacku poszedłszy do izdebki owej zapalił lampę, usiadł przy biurku, na którym bielił się stos opasek wraz z listą adresową, i niewiele myśląc zaczął pisać, naśladowując zupełnie pismo swego ojca.

I miło mu było pisać, i rad był, choć się i bał trochę, a opaski zapisane piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu kładł pióro, zacierał ręce, znów zaczynał pisać z zapalem, nastawiając ucha i uśmiechając się z lekka.

Zapisał sto sześćdziesiąt. Zarobił lira.

Przestał, położył pióro, skąd je wziął, zagasił światło i na palcach do łóżka powrócił.

Tego dnia w południe siadł ojciec do stołu w wybornym humorze. Nic a nic nie pomiarkował. Bo tę robotę wykonywał mechanicznie, na godziny ją mierząc, i często przy niej myśląc o czym innym, a dopiero nazajutrz liczył zapisane opaski. Siedząc tak wesół przy stole, poklepał syna po ramieniu i rzekł:

— Ech, Julku, jeszcze z twego ojca lepszy pracownik, niżej myślał!

W dwie godzin machnąłem wczoraj wieczór o trzecią część więcej roboty niż zwykle! Jeszcze moja ręka sprawna, a i oczy pełnią swoją służbę. A Julek milczał, szczęśliwy, i tylko w duchu tak mówił; „Biedny tato! Nie tylko mu ułatwiam robotę, ale przyczyniam mu radości, że się młodszym i silniejszym czuje. Dobra nasza! Nie tracimy odwagi!”

Tak zachęcony powodzeniem czekał nocy, a gdy dwunasta wybiła, znowu wstał cicho i dalej do roboty. I tak przez wiele nocy wciąż, jedna po drugiej. A ojciec ciągle jeszcze nic nie miarkował. Raz tylko wychodząc po kolacji rzekł:

— Nie do uwierzenia, co nafty w domu wychodzi od jakiegoś czasu!

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się skończyła, a nocna robota szła dalej. Jednakże, przerywając tak sen każdej nocy, chłopiec nie wypoczywał dostatecznie; toteż rankiem wstawał zmęczony, a wieczorem przy odrabianiu lekcji ledwo że otwierał oczy. Aż jednego dnia, pierwszy raz w życiu, usnął nad kajetem.

— Chłopak! Co ty! ... – krzyknął jego ojciec. – Do roboty! Dalej, śpiochu!

Wstrząsnął się i do lekcji zabrał.

Ale następnego wieczora i później było znów to samo. A nawet było gorzej jeszcze. Drzemał nad książkami, wstawał późno, lekcje odbywał, aby zbyć, zdawał się zniechęcony do nauk.

Ojciec zaczął na niego uważać, potem zamyślać się, wreszcie wyrzucać mu lenistwo.

— Julku! – rzekł pewnego rana. – Co się z tobą stało? Już ty nie ten, co dawniej. Bardzo mi się to nie podoba. Bardzo mię to martwi! Zważ, że cała nadzieja rodziny na tobie spoczywa. Jestem z ciebie nierad! Rozumiesz?

Ten wyrzut, pierwszy raz tak ostrym wypowiedziany głosem, zmartwił nieboraka ogromnie.

„Prawda – pomyślał. – Nie może tak być dalej. Trzeba zakończyć tę pomoc i to złudzenie...”

Ale tegoż wieczora, jakby naumyślnie, ojciec wychodząc z domu rzekł bardzo wesoło:

— Wiecie ? W tym miesiącu zarobiłem tymi adresami o trzydzieści dwa liry więcej niżeli w zeszłym! – Co rzekłszy dobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, żeby dzieciom sprawić uciechę z powodu tak powiększonego zarobku.

Julek znów nabrał otuchy i rzekł sobie:

„Nie, drogi ojcie! Będę cię jeszcze łudził, jeszcze ci pomagał! Dobędę ostatnich sił, żeby lekcjami przez dzień nastarczyć, a nocami będę jeszcze pracował dla ciebie, dla mamy, dla braci...”

A ojciec tak mówił dalej:

— Trzydzieści dwa liry więcej, to nie bagatela! Cieszymy się, dzieci. Jedno z was tylko – tu wskazał ręką Julka – martwi mnie i smuci.

A Julek wysłuchiwał wyrzutu tego w milczeniu, połykając łzy, które mu się do oczu cisnęły, a jednocześnie uczuł w sercu wielką, wielką słodycz.

I zapamiętał pracować zaczął. Ale nowe znużenie, do dawnego znużenia dodane, coraz było trudniejszym do przezwyciężenia.

Tak trwały rzeczy coś przez dwa miesiące. Ojciec strofował Julka prawie co dzień i patrzył na niego coraz niechętniejszym wzrokiem. Aż dnia pewnego poszedł do nauczyciela, żeby z nim pomówić o tym, a nauczyciel rzekł:

— Owszem, lekcje odrabia, bo to inteligentne dziecko, ale tego dawnego zapału do nauki nie ma. Drzemie w klasie, nie uważa, jest roztargniony. Ćwiczenia pisze coraz krótsze, aby zbyć, i bazgrze je po prostu. O, jestem pewny, że mógłby przy dobrej woli zupełnie inaczej się uczyć!

Tego wieczora wziął ojciec chłopca na stronę i tak do niego mówił, z niebywałą u niego powagą:

— Julku! Wszak widzisz, jak ja pracuję, jak sobie życie skracam dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi ułatwić tego. Nie masz serca ani dla mnie, ani dla matki, ani dla braci!

— Ach nie! Nie mów tak, tato! – zawołał Julek wybuchając płaczem i już otwierał usta, żeby wyznać wszystko, ale ojciec przerwał mu i rzekł:

— Wiesz, w jak ciężkich warunkach żyjemy. Wiesz, że aby wyżyć, trzeba dobrej woli i poświęcenia wszystkich w rodzinie. Wiesz, że ja sam musiałem podwoić pracę. Tego miesiąca liczyłem na sto lirów gratyfikacji z kolei, a dowiedziałem się, że nie dają żadnej. Usłyszawszy to Julek cofnął wyznanie, które już mu się na usta cisnęło z duszy, i w mgnieniu oka odzyskując siłę woli rzekł sam sobie:

„Nie, tato! Nic ci nie powiem! Będę jeszcze pracował tajemnie dla ciebie. Za to strapienie, jakie ci sprawiam, wynagrodzę ci pomocą w twych trudach. W szkole i tak promocję dostanę. Pierwsza rzecz i najpilniejsza, pomagać ci w utrzymaniu nas wszystkich i ulżyć ci w tej pracy, która cię zabija!”

Od tej rozmowy przeszło znowu dwa miesiące. Dwa miesiące nocnej pracy i dziennego wyczerpania, rozpaczliwych wysiłków dziecka i gorzkich wymówek ojca. Gorsze jednak od wymówek było to, że ojciec stawał się dla syna coraz

ozięblejszy, że rzadko tylko odzywał się do niego, jakby to było dziecko stracone dla jego serca, po którym nic dobrego spodziewać się nie można, tak że unikał nawet spojrzenia na niego.

Widział to Julek i cierpiał; a kiedy ojciec odwrócił się od niego, przysyłał mu ręką pocałunek nieśmiały podnosząc ku niemu wzrok smutny i pełen miłości. Chudł przy tym i coraz był bledszy z powodu tej pracy i tego cierpienia, a w miarę ubytku sił coraz bardziej zaniedbywać się musiał w nauce. Zrozumiał wreszcie nieszczęsny chłopczyzna, że trzeba mu się zrzec tej pracy tajemnej, i co dzień wieczór mówił sobie:

„Tej nocy już będę spał. Nie wstanę”.

Zaledwie jednak wybiła dwunasta, zamiast powziąć odważnie to postanowienie, uczuwał wyrzuty. Zdawało mu się, że leżąc tak w łóżku uchybia jakiemuś ważnemu obowiązкови, że wprost wydziera tego lira ojcu i rodzinie.

I wstawał cicho, i myślał, że przecież którejkolwiek nocy ojciec obudzi się i na pisaniu go zastanie; że spostrzeże się przecie kiedyś przeliczywszy z wieczora napisane przez siebie opaski, a tak wyda się i skończy naturalnie wszystko, samo przez się, bez jego przyczynienia, bez tego aktu woli, do którego nie miał dosyć siły. I tak ciągnęło się dalej.

Aż pewnego dnia ojciec wyrzekł, jakby naumyślnie, słowa, które zdecydowały chłopca ostatecznie. Było to tak: matka popatrzyła na Julka, a że jej się zdawał jeszcze bledszy, jeszcze mizerniejszy niż zwykle, rzekła:

— Julku, tyś chory, dziecko... – I zwróciwszy się do ojca dodała: – Julek musi być chory.

Zobacz tylko, jaki blady! Julku mój drogi, co tobie? Ale ojciec rzucił tylko raz okiem na niego i rzekł:

— Kto ma złe sumienie, ten nie może być zdrow. Nie było tak dawnymi czasy, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

— Ależ on chory! – zawołała matka.

— Nic mnie to już nie obchodzi – odpowiedział ojciec. A biednemu chłopczyźnie, gdy usłyszał te słowa, zdawało się, że mu utkwił nóż w sercu. Ach, nie zniesie tego już dłużej. Nie może! Ojciec jego... ten ojciec, który drżał dawniej, kiedy chłopak zakaszał tylko... Nie kocha go już więc... Nie ma się co łudzić. Umarł więc w sercu swego ojca... – „Ach nie, ojcie! – rzekł sobie chłopiec ze ściśniętym jakąś śmiertelną bojaźnią sercem – teraz już naprawdę wszystko skończone, bo żyć nie mogę bez twojej miłości. Zdobędę się na siłę, powiem ci wszystko, nie będę cię dłużej oszukiwał, będę się uczył jak pierwej! Niech się dzieje co chce, byleś mnie kochał po dawnemu, drogi mój, najdroższy ojcie! Ach, teraz już jestem zdecydowany na wszystko!”

Ale jeszcze tejże nocy, z nawyknięcia po prostu, wstał; a gdy wstał, poszedł raz jeszcze popatrzeć wśród ciszy nocnej na tę małą izdebkę, gdzie tak długo skrycie czuwał i pracował, z sercem pełnym radości najtkliwszej. A gdy przystąpił do stolika i zapalił światło, i zobaczył te czyste opaski białe, na których już nigdy nie miał pisać nazwisk ludzi i miast, tych nazwisk, które już na pamięć umiał, zrobiło mu się okropnie smutno i chwycił nagle za pióro, żeby zwykłą swą pracę rozpocząć.

Ale w ruchu tym potrafił książkę, a książka spadła na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Ojciec mógł się obudzić! ... Nie zaszedłby go, prawda, na żadnym złym uczynku; owszem, on sam postanowił powiedzieć mu wszystko. A przecież usłyszeć kroki jego w ciemności... być tak przydybanym w tej ciszy, o tej godzinie... Zbudzić i przestraszyć matkę... i może jeszcze widzieć, po raz pierwszy, upokorzenie ojca wobec siebie, gdy wszystko się wyda... Na tę myśl skamieniał po prostu. Ale nie posłyszał nic. Nasłuchiwał przez chwilę u drzwi, które miał za sobą – nic!

Cały dom był głęboko uśpiony.

Zaczął więc pisać z pośpiechem, a opaski piętrzyły się przed nim. Tak pisząc słyszał miarowy krok straży miejskiej w pobliskiej pustej uliczce, potem turkot powozu, który nagle ustał; w chwilę później ciężki turkot wozów posuwających się jeden za drugim, a potem jeszcze głęboką ciszę, przerywaną od czasu do czasu dalekim szczekaniem psa. I pisał, pisał... A tymczasem ojciec jego stał za nim. Zbudzony stukiem upadającej książki, przeczekał on czas jakiś, wszedł do izdebki w chwili, kiedy turkot wozów tłumiał jego kroki, i stał tam, z swoją siwą głową ponad ciemną główką syna i widział, jak pióro jego biega po opaskach, i w jednej chwili odgadł wszystko, wszystko przypomniał, zrozumiał, a niezmierna żalność i tkliwość zalała mu duszę przykuwając go, bez tchu, za plecami syna. Aż naraz Julek krzyknął przeraźliwie. Dwoje ramion objęło mu głowę w gwałtownym uścisku.

— O tato, tato, przebac mi! – zawołał chłopiec poznając ojca po płaczu.

— To ty mi przebac! – odrzekł ojciec łkając i pokrywając pocałunkami jego czoło. – Zrozumiałem, wszystko wiem, wszystko, i to ja, ja żądam przebaczenia twego, święte moje dziecko! Pójdź, pójdź w moje ramiona.

I dźwignął go, i w ramionach zaniósł do łóżka zbudzonej matki, rzucił go w jej objęcia i rzekł:

— Ucałuj to anielskie dziecko, które od wielu miesięcy nie sypia i pracuje po nocach za mnie, a jam zasmucał jego serce, jego, co na chleb zarabiał dla nas...

Matka przycisnęła go do piersi nie mogąc słowa przemówić z wielkiego wzruszenia, po czym rzekła:

— Spać, droga dziecino, spać! ... Zanieś go do łóżeczka jego...

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do izdebki jego, położył go w łóżko całując go i piesz- cząc, poprawił mu poduszkę i otulił kołdrą.

— Dziękuję, tato, dziękuję! – powtarzał Julek. – Idź już sam spać! Idź, tato! Dobranoc!

Ale ojciec pragnął go widzieć uśpionym; usiadł więc przy jego pościeli? wziął rękę jego i rzekł:

— spij synu, śpij!

A Julek, zmęczony, usnął wreszcie i spał długo, pierwszym od tylu miesięcy snem cichym, spokojnym... A sny miał miłe, radosne, śmiejące. A kiedy oczy otworzył.. A, a słońce dość już wysoko było na niebie, najpierw uczuł, a potem zobaczył, tuż przy piersiach swoich, na brzegu łóżeczka siwą głowę ojca, który tak noc całą spędził i spał jeszcze, czołem o serce syna oparty.